



ENKLAWA

MARCIN WOLSKI

Marcin Wolski

ENKLAWA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-83-6

Copyright © Marcin Wolski

Projekt okładki: Karolina Lubaszko

Tekst: Solaris, Olsztyn 2004

poddany korekcie

I wydanie: WL, Kraków 1982

Spis treści

Wstęp

1. Autor

2. Walter

3. Autor

4. Walter

5. Autor

6. Walter

7. Autor

8. Jeremiasz

9. Walter

10. Walter, ciąg dalszy

11. Jeremiasz

12. Autor

13. Walter

14. Autor

15. Walter

16. Autor

17. Walter

18. Autor

19. Walter

20. Autor

21. Załącznik nr 7

22. Załącznik nr 8 (sprawa Soni)

23. Wciąż jeszcze autor

24. Walter

25. Autor

26. Autor, ciąg dalszy

27. Walter

28. Autor

29. Walter

30. Autor

31. Walter

32. Autor, zakończenie

33. Walter, zakończenie

Wstęp

W swojej radiowej wersji, jako serial słuchowiskowy do „60 minut na godzinę”, „Enklawa” powstała w roku 1977. Wkrótce potem dokonałem jej adaptacji na wersję drukowaną. Sięgając po nią w ćwierć wieku później początkowo zamierzałem napisać rzecz na nowo. Tyle się zmieniło... Radiowe mikrosluchowisko pisał trzydziestolatek, który nigdy nie był na Zachodzie. I co więcej, nie miał pewności, że kiedykolwiek tam się znajdzie.

Jednak po namyśle zrezygnowałem z większych zmian, poza drobnymi korektami stylistycznymi. Uznałem, że pisanie o świecie, o którym nie ma się pojęcia, kryło w sobie pewien wdzięk. Pozostałem zarazem to, co mogło wydawać się najbardziej kontrowersyjne. Owo opisywanie Zachodu („Enklawa” w zamyśle nie dzieje się w żadnym konkretnym państwie) jako swoistej karykatury socjalistycznego PRL-u. Zresztą, po latach naszych doświadczeń z „pokojoyym budownictwem kapitalizmu”, a zarazem obserwując proces „socjalizacji” tamtego świata zauważam, że wiele żartów zyskało wymiar aktualny, czasem proroczy. Można powiedzieć, że przez ćwierć wieku wszystko się zmieniło i nic się nie zmieniło. Może tylko każdy człowiek jest coraz bardziej samotną enklawą.

I nadal warto czytać „Apokalipsę św. Jana”.

1. Autor

– I nadejdzie dzień, w którym człowiek na widok odcisku stopy bliźniego na piasku przypadnie do ziemi ślad ten ucałować. A zwierz dziki załęgnie się w opustoszałych domostwach, gdzie wilcy wyć będą swoje pieśni, a mech porośnie pamięć i tylko duch wszechmocny unosić się będzie ponad pustkowiami... – zabrzmiało złowieszczo z ulicy.

– Zamknij okno i skończ się ubierać! – powiedział Walter, wychodząc z toalety.

Zuzanna wykonała polecenie posłusznie, świadoma faktu, że minęła już 11.28 i do końca spotkania nie zostało więcej niż trzy minuty. Przez jej dziecinną twarz o wielkich czarnych oczach nie przemknął najmniejszy cień zdziwienia. Znała Waltera przeszło trzy miesiące i mimo swoich szesnastu lat zdawała sobie sprawę, jakiego rodzaju był to człowiek. Kiedy przy pomocy staroświeckiej dźwigni zatrzaskiwała wywietrznik hotelowego okna, jej partner skończył już pobieżną toaletę.

– Zobaczmy się... – błyskawicznie przejrzał swój elektroniczny notatnik – ...w piątek o 16.24 w Hadze.

– Hotel „Hilton”?

– Nie. „Krasnopolsky”!

Skinęła głową jak dobrze wytresowana sekretarka, a potem, gdy Walter już wyszedł, otworzyła okno i zaciągnęła się papierosem.

– A z czterech stron wystąpią żywioły, zaś konie apokalipsy wypełnią świat swym tętentem, a uszy trwożą... I będzie dzień wtóry, wieczór i zaranek... – grzmiał dalej prorok przez ręczny megafon.

Na skwerku wokół fontanny słuchaczy miał niewiele. Z biedą do audytorium zaliczyć można było ziewającego policjanta o twarzy znudzonego alfonsa, kobietę z wózkiem dziecięcym i sprzedawcę uwijającego się przy straganie ze świeżymi owocami. W dalszej perspektywie można było natomiast zaobserwować parę migdalącą się na szerokim obramowaniu fontanny i kioskarza w białego w swoją budkę jak parówka w hot-doga. Atoli katastrofista wyraźnie nie dbał o publiczność i wyrzucał z siebie wariacje na motywach *Apokalipsy św. Jana* w dość dowolnej interpretacji. Prorok nosił się niedbale. Obszarpane dżinsy kontrował żółtawy brudny zakiet, a głowa z wygolonym krzyżem kontrastowała z rzadką beżową bródką à la Ho Szi Min. Powieki, na których jakiś biegły spec z Chińskiej Dzielnicy wytatuował znak ryby, miał półprzymknięte, a całość postaci wyglądała jak darmowy souvenir Rady Miejskiej dla przypadkowych turystów, którzy zapuściliby się na ten staroświecki skwerek przydeптany kanciąstą bryłą hotelu.

– I nadejdzie to w dniu, w którym nikt się nie będzie spodziewał. A nie z ziemi i nie z nieba spłynie królestwo śmierci.

Zuzanna uśmiechnęła się. Kiedy miała czternaście lat, fascynowały ją podobne gadki. Odmiennie zareagował jej sąsiad z pokoju obok, łysawy emeryt o wyglądzie Winstona Churchilla. Przez poprzedni kwadrans zajmował się podsłuchiowaniem erotycznych osiągnięć tandemu Walter – Zuzia; teraz z niesmakiem splunął przez okno:

– Wizjonerzy, psiakrew... Jakby za mało było im codzienności!

Niechętnie sięgnął po gazetę, w której wiadomość o porwaniu tramwaju przez terrorystów w Belfaście sąsiadowała z wieścią o zbiorowym amoku narkomanów w wesołym miasteczku i wojną między dwoma bananowymi republikami wywołaną kontrowersyjnym werdyktem sędziego podczas rozgrywek futbolu... A cena złota znów szła w górę.

– I kto wówczas da świadectwo prawdzie? Kto się ostanie? – głos mówcy załamał się nagłym skowytom. – Kto?

– Ale musiał się naćpać prochów – pomyślała Zuzanna i postanowiła zadbać o siebie.

Jej źrenice rozszerzyły się jeszcze bardziej. Z kosmetyczki wyciągnęła jednorazową strzykawkę. Była godzina 11.31.

2. Walter

Lubię podróżować nocą. To mnie odpręża. Jeśli człowiek kiedykolwiek bywa wolny, to jestem nim ja, właśnie teraz, w mojej maszynie. Minęła 1.22. A ja mogę zupełnie dokładnie powiedzieć, co się dzieje ze wszystkimi moimi ludźmi. Tam, na ziemi i tu, na pokładzie: George siedzi przy sterach, dobry stary George, precyzyjny jak szwajcarski zegarek. Mimo autopilota śledzi uważnie wszystkie światelka wskaźników. Drugi pilot mego gulfstreama, Michael – drzemie. W kabinie obok Luke przygotowuje zestawienia na jutrzejszą konferencję. Anna parzy herbatę. Dwaj ochroniarze, pieścizotliwie nazywam ich „orangutankami” (jak na „goryli” są zbyt szczupli i rudzi), relaksują się grą w szachy, a my suniemy wzdłuż wybrzeża, by za pięć minut zmienić kurs na północno-zachodni. I wszystko jest w porządku. Odprężony włączam „Błękitną Rapsodię” Gershwina. Nie wiem dlaczego, ale lubię te starocie. Co śmieszniesze, zawsze zadaję sobie podobne pytanie dopiero w chwili włączenia muzyki. Zuzia była dziś pyszna. To zabawne, że mogąc mieć tyle dziewcząt w najrozmaitszych zakątkach globu, tak często spotykam się właśnie z nią. Fascynacja jej wiekiem? Raczej nie. W Kalifornii zaliczałem już czternastolatki. Podoba mi się chyba to jej przywiązanie. Jej pełna dyspozycyjność. Jej dziwkarska gotowość do miłosnego aktu w jakiegokolwiek sytuacji – czy będzie to szybkobieżna winda, biurko w sali Rady Nadzorczej czy przypadkowa brama. Za każdym razem jest jej obojętne, że tuż obok moje „orangutanki” grają w karty lub czytają gazety, ona po prostu to lubi. Nie wiem nawet, czy ważne jest dla niej, że i ja to lubię... A czy ją lubię? Był czas, kiedy zadawałem sobie podobne pytania. Jeszcze w college’u. Miałem na to czas. Potem zorientowałem się, że filozofowanie i tym podobne rozterki zbyt drogo kosztują. Miewałem je więc coraz rzadziej. Nawiasem mówiąc, jeśli kiedykolwiek jakiś pieprzony Leonardo da Vinci wymyśliłby maszynkę do kochania – to prototypem byłaby Zuzia. Pojutrze spotkamy się w Hadze, za tydzień w Hongkongu czy innym Vegas. Przy moich pieniądzach znajdę ją tam jak każdy towar.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI